

STEPHEN KING

TYLKO UMARLI
NIE KŁAMIAJĄ



PÓŹNIEJ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LATER

Copyright © Stephen King 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Rafał Lisowski 2021

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki oryginalnej i ilustracja na okładce: © artwork & design:
Hauptmann & Kompanie Werbeagentur, Zurich, Switzerland

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



NIE LUBIĘ ZACZYNAĆ OD przeprosin – jest na to pewnie nawet jakaś zasada w stylu tej, że nie zaczyna się zdania od „więc” – ale po przeczytaniu prawie trzydziestu stron, które już napisałem, mam wrażenie, że muszę to zrobić. Chodzi o pewne słowo, którego stale używam. Od matki nauczyłem się wielu brzydkich wyrazów i (jak się wkrótce przekonacie) używałem ich od wczesnej młodości, ale to słowo do nich nie należy. Chodzi o „później”, w wyrażeniach takich jak „nieco później” albo „później dowiedziałem się”, albo „dopiero później zrozumiałem”. Wiem, że się powtarzam, nie mam jednak wyboru, ponieważ ta historia zaczyna się w czasach, kiedy jeszcze wierzyłem w Świętego Mikołaja i Wróżkę Zębuszkę (choć jako sześciolatek miałem już pewne

wątpliwości). Dzisiaj mam dwadzieścia dwa lata, czyli jest później, prawda? Pewnie po czterdziestce – oczywiście pod warunkiem, że dożyję – wspomnę coś, co wydawało mi się zrozumiałe, kiedy byłem dwudziestodwulatkiem, i dotrze do mnie, że wielu rzeczy nie rozumiałem w ogóle. Zawsze jest jakieś później, teraz to wiem. Przynajmniej do śmierci. Bo wtedy wszystko inne jest już wcześniej.

Nazywam się Jamie Conklin i kiedyś wydawało mi się, że na Święto Dziękczynienia narysowałem tak pięknego indyka, że mucha nie siada. Później – zresztą niewiele później – okazało się, że było to raczej gówno, na którym muchy siadają. Czasami prawda jest do dupy.

Myszę, że ta historia to horror. Posłuchajcie.

1

WRACAŁEM Z MATKĄ ZE szkoły do domu. Trzymała mnie za rękę. W drugiej dłoni ściszałem swojego indyka, jednego z tych, które zrobiliśmy w pierwszej klasie tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Byłem z niego taki dumny, że z radości prawie waliłem w gacie. Bo wiecie, kładło się rękę na kawałku brystolu i obrysowywało świecówką. Tak powstawał ogon i tułów. Z głową każdy musiał radzić sobie sam.

Pokazałem rysunek mamie, a ona na to, że tak, tak, tak, jasne, jasne, naprawdę super, ale właściwie to chyba nawet go nie widziała. Pewnie myślała o jednej z książek, które próbowała sprzedać. „Opchnąć produkt” – tak o tym mówiła. Bo musicie wiedzieć, że mama była agentką literacką. Dawniej zajmował się tym jej brat,

wujek Harry, ale przejęła od niego interes na rok przed tym momentem, o którym wam teraz opowiadam. To długa historia i trochę dołująca.

– Użyłem zieleni leśnej, bo to moja ulubiona kredka. Wiedziałaś o tym, prawda? – zapytałem.

Prawie doszliśmy do naszego budynku. Znajdował się tylko trzy przecznice od szkoły.

Ona na to, że jasne, jasne. I jeszcze:

– Młody, jak wrócimy, to pójdziesz się pobawić albo pooglądasz *Barneya*, albo *Magiczny autobus*, bo ja muszę obdzwonić milion osób.

Wtedy to z kolei ja odpowiedziałem, że jasne, jasne, a ona szturchnęła mnie łokciem i uśmiechnęła się. Uwielbiałem wywoływać uśmiech u matki, bo nawet jako sześciolatek rozumiałem, że traktuje świat bardzo poważnie. Później dowiedziałem się, że było tak między innymi z mojego powodu. Podejrzewała, że wychowuje wariata. Dzień, o którym wam opowiadam, to ten, kiedy uznała, że jednak nim nie jestem. Czyli w pewnym sensie musiała poczuć ulgę, a w pewnym sensie wcale nie.

– Nie rozmawiaj o tym z nikim, młody – powiedziała mi później tamtego dnia. – Tylko ze mną. Albo nawet ze mną nie. Dobra?

Odparłem, że dobra. Kiedy jesteś mały i chodzi o

twoją mamę, na wszystko mówisz, że dobra. Chyba że chodzi o pójście spać, ma się rozumieć. Albo o dojedzenie brokołu.

Doszliśmy do naszego budynku. Winda dalej była zepsuta. Można by mówić, że gdyby działała, sprawy potoczyłyby się inaczej, ale ja tak nie uważam. Uważam, że ci wszyscy, którzy twierdzą, że o życiu decydują nasze wybory i drogi, jakimi idziemy, pieprzą bzdury. No bo słuchajcie: czy windą, czy schodami, i tak dotarlibyśmy na drugie piętro. Kiedy kapryśny los wskazuje cię palcem, wszystkie drogi prowadzą w to samo miejsce, tak właśnie uważam. Może zmienię zdanie, gdy będę starszy, ale wątpię.

– Pieprzona winda – rzuciła matka. A potem: – Nie słyszałeś tego, młody.

– Czego nie słyszałem? – zapytałem, na co znów odpowiedziała uśmiechem.

To był jej ostatni uśmiech tego popołudnia, na sto procent. Zapytałem, czy chce, żebym poniósł jej siatkę, w której jak zwykle miała maszynopis, tego dnia bardzo gruby, taki pięćsetstronicowy. (Kiedy była ładna pogoda, mama zawsze czytała na ławce przed szkołą, czekając, aż wyjdę).

– Urocza propozycja – odparła. – Ale co ja ci zawsze

powtarzam?

- Że każdy musi dźwigać swoje brzemię.
- Dokładniesz.
- To Regis Thomas? – zapytałem.
- Zgadza się. Stary dobry Regis, który płaci za nasz czynsz.
- Coś o kolonii Roanoke?
- Jamie, naprawdę musisz pytać?

Zachichotałem. Wszystko, co pisał stary dobry Regis, było o Roanoke. Właśnie takie brzemię dźwigał.

Weszliśmy schodami na drugie piętro, gdzie znajdowały się dwa mieszkania plus nasze, trzecie, na końcu korytarza. Nasze było najelegantsze. Przed mieszkaniem 3A stali państwo Burkettowie i od razu wiedziałem, że coś jest nie tak, bo pan Burkett palił papierosa, co widziałem po raz pierwszy, zresztą w naszym budynku był zakaz palenia. Oczywiście miał przekrwione, a siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony. Zawsze mówiłem do niego „proszę pana”, choć tak naprawdę był panem profesorem Burkettem i wykladał coś bardzo mądrego na Uniwersytecie Nowojorskim. Literaturę angielską i europejską, jak się później dowiedziałem. Jego żona stała boso i miała na sobie koszulę nocną. Ta koszula była bardzo cienka i było przez nią widać to i

owo.

– Co się stało, Marty? – zapytała moja matka.

Zanim pan Burkett zdążył odpowiedzieć, pokazałem mu swojego indyka. Zrobiłem to, bo wyglądał smutno, więc chciałem go pocieszyć, ale także dlatego, że byłem bardzo dumny.

– Niech pan popatrzy! Narysowałem indyka! Niech pani popatrzy!

Pokazując rysunek pani Burkett, zasłoniłem nim sobie twarz, bo nie chciałem, by myślała, że patrzę na jej to i owo.

Pan Burkett w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Chyba mnie nawet nie słyszał.

– Mam okropną wiadomość, Tio. Dziś rano zmarła Mona.

Matka upuściła między stopy siatkę z maszynopisem i przyłożyła rękę do ust.

– O nie! To nie może być prawda!

Nasz sąsiad zaczął płakać.

– Wstała w nocy i powiedziała, że chce się napić wody. Z powrotem położyłem się spać, a rano leżała na kanapie z kołdrą podciągniętą pod brodę, więc poszedłem do kuchni na palcach i nastawiłem kawę, bo pomyślałem, że ten ładny zapach ją o... o... obudzi...

Wtedy na dobre się rozsypał. Mama chwyciła go za ramiona, tak jak chwytala mnie, kiedy coś sobie zrobiłem, mimo że pan Burkett miał już ze sto lat (siedemdziesiąt cztery, jak się później dowiedziałem).

Właśnie w tym momencie odezwała się do mnie jego żona. Trudno ją było usłyszeć, ale nie tak trudno jak niektórych, bo była jeszcze w miarę świeża.

– James, indyki nie są zielone – powiedziała.

– No ale mój jest – odparłem.

Moja matka wciąż trzymała pana Burketta i tak jakby nim kołysała. Nie słyszeli pani Burkett, bo nie mogli, i nie słyszeli mnie, bo robili dorosłe rzeczy: ona go pocieszała, a on ryczał.

– Wezwałem doktora Allena – ciągnął. – Przyjechał i stwierdził, że chyba miała wyziew. – A przynajmniej coś takiego usłyszałem, bo tak bardzo płakał, że trudno go było zrozumieć. – Zadzwoił do zakładu pogrzebowego. Przyjechali i ją zabrali. Nie wiem, co ja bez niej zrobię.

– Jeżeli mój mąż nie będzie uważał, sfajczy twojej matce włosy papierosem – stwierdziła pani Burkett.

I rzeczywiście to zrobił. Poczulem swąd przypalanych włosów, taki kojarzący się z salonem kosmetycznym. Mama była zbyt uprzejma, żeby coś powiedzieć, ale zmusiła go, żeby ją puścił, a potem wyjęła mu z ręki

papierosa, rzuciła go na podłogę i zdeptała. Pomyślałem, że brzydko zrobiła, bo nie wolno tak śmiecić, ale się nie odezwałem. Rozumiałem, że to wyjątkowa sytuacja.

Wiedziałem też, że mógłby się przerazić, gdybym dalej rozmawiał z jego żoną. Mama zresztą też. Nawet małe dziecko wie parę podstawowych rzeczy, jeśli tylko nie ma nierówno pod sufitem. Mówi się „proszę”, mówi się „dziękuję”, nie wymachuje się ptaszkiem przy ludziach, nie żuje się jedzenia z otwartą buzią i nie rozmawia z martwymi ludźmi, kiedy stoją tuż obok żywych, którzy właśnie zaczynają tęsknić. Na swoją obronę chcę powiedzieć tylko tyle, że kiedy ją zobaczyłem, nie wiedziałem, że nie żyje. Później nauczyłem się lepiej dostrzegać różnicę, ale wtedy dopiero się tego uczyłem. To jej koszula nocna prześwitywała, nie ona. Martwi wyglądają tak samo jak żywi, tylko że zawsze mają na sobie ubranie, w którym umarli.

Tymczasem pan Burkett opisywał wszystko po kolei. Powiedział mojej matce, że siedział na podłodze przy kanapie i trzymał żonę za rękę, dopóki nie przyjechał doktor, a po nim ktoś z zakładu pogrzebowego, żeby ją zabrać. „Odtransportować” – tak konkretnie powiedział, a ja nie rozumiałem, co to znaczy, dopóki mama mi nie wytłumaczyła. Najpierw, może z powodu zapachu

jej przypalanych włosów, myślałem, że powiedział „z zakładu pięknościowego”. Jego płacz zdążył się już trochę uspokoić, ale teraz znowu się nasilił.

– Nie ma jej biżuterii. Ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego, tego z dużym brylantem. Szukałem na szafce po jej stronie łóżka, tam gdzie zawsze je kładzie, kiedy wciera sobie w dłoń tę śmierdzącą maść na artretyzm...

– Faktycznie cuchnie – przyznała pani Burkett. – Lanolina to w zasadzie płyn do odkazania owiec, ale naprawdę pomaga.

Kiwnąłem głową na znak, że zrozumiałem, ale nic nie mówiłem.

– ...i na umywalce w łazience, bo tam je czasami zostawia... Szukałem wszędzie!

– Na pewno się znajdą – pocieszyła pana Burketta moja matka. Teraz, gdy jej włosy były bezpieczne, znowu wzięła go w ramiona. – Znajdą się, Marty, nie martw się.

– Tak strasznie za nią tęsknię! Tęsknię już teraz!

Pani Burkett pomachała sobie ręką przed twarzą.

– Daję mu sześć tygodni, zanim zaprosi Dolores Magowan na lunch.

Jej mąż ryczał, a mama uspokajała go po swojemu, tak jak zawsze uspokajała mnie, kiedy obtarłem kolano

albo gdy pewnego razu chciałem jej zrobić herbatę i wylałem sobie na rękę wrzątek. Innymi słowy, robiła dużo hałasu, dlatego zaryzykowałem, chociaż cicho:

– Gdzie jest pani biżuteria? Wie pani?

Oni po śmierci muszą mówić prawdę. Jako sześciolatek nie wiedziałem o tym; sądziłem po prostu, że wszyscy dorośli mówią prawdę, i żywi, i martwi. Oczywiście wtedy wydawało mi się również, że Złotowłosa z bajki o trzech misiach była prawdziwą dziewczynką. Możecie sobie mówić, że byłem głupi. Przynajmniej nie wierzyłem, że tamte misie naprawdę umiały mówić.

– Na górnej półce szafy w przedpokoju – odpowiedziała. – Bardzo głęboko, za albumami.

– Dlaczego tam? – zapytałem, a matka dziwnie na mnie spojrzała.

Z jej perspektywy rozmawiałem z pustymi drzwiami... chociaż już wtedy wiedziała, że nie jestem taki jak inne dzieci. Po tym, co wydarzyło się w Central Parku, a nie było to przyjemne – opowiem później – usłyszałem, jak któremuś ze znajomych redaktorów mówi przez telefon, że jestem „jasnowidzący”; wystraszyłem się jak cholera, bo myślałem, że to znaczy, że mam coś z oczami.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła pani Burkett.

– Pewnie już wtedy miałam wylew. Moje myśli tonęły we krwi.

„Moje myśli tonęły we krwi”. Nigdy tego nie zapomniałem.

Mama zaproponowała, żeby pan Burkett przyszedł do nas na herbatę („albo coś mocniejszego”), ale odmówił, bo chciał jeszcze raz poszukać zaginionej biżuterii żony. Zapytała, czy chce trochę chińszczyzny, którą zamierzała zamówić na kolację, a on na to, że bardzo chętnie, dziękuję, Tio.

Matka powiedziała *de nada* (co powtarzała prawie tak często jak „tak, tak, tak” i „jasne, jasne”), a potem obiecała, że przyniesiemy mu jedzenie koło szóstej, chyba że woli zjeść u nas, bo jeśli tak, to zapraszamy. Odpowiedział, że nie, woli u siebie, ale chciałby, żebyśmy zjedli razem z nim. Tylko że tak naprawdę powiedział „u nas”, jakby pani Burkett ciągle żyła. A nie żyła, chociaż była obecna przy tej rozmowie.

– Wtedy już na pewno znajdziesz jej biżuterię – dodała mama. Wzięła mnie za rękę. – Chodź, Jamie. Z panem Burkettem spotkamy się później, ale teraz zostawmy go samego.

– Indyki nie są zielone, Jamie – powtórzyła pani Burkett. – A zresztą to w ogóle nie wygląda jak indyk.

Wygląda jak kleks, z którego sterczą palce. Rembrandtem to ty nie będziesz.

Martwi muszę mówić prawdę, co jest dobre, kiedy chce się poznać odpowiedź na jakieś pytanie, ale jak już mówiłem, czasami prawda jest do dupy. Zaczynałem być zły na panią Burkett, potem jednak się rozplakała, więc mi przeszło. Odwróciła się do męża i spytała:

– Kto teraz będzie pilnował, żebyś trafił paskiem w szlufkę z tyłu spodni? Dolores Magowan? Już to widzę!
– Pocałowała go w policzek... albo raczej pocałowała okolice jego policzka, nie umiałem tego odróżnić. – Kochałam cię, Marty. Dalej cię kocham.

Uniósł rękę i podrapał się w miejscu, którego dotknęła ustami, jakby go zaswędziało. Pewnie tak o tym pomyślał.

2

NO WIĘC OWSZEM, WIDZĘ martwych ludzi. O ile pamiętam, to od zawsze. Ale to nie tak jak w tym filmie z Bruce'em Willisem. Czasami to jest ciekawe, czasami przerażające (jak tamten gość w Central Parku), czasami wkurzające, natomiast zwykle po prostu... jest. To coś jak leworęczność, umiejętność gry na klasycznym instrumencie w wieku trzech lat albo wczesny początek alzheimera, zupełnie jak u wujka Harry'ego w wieku zaledwie czterdziestu dwóch lat. Ja miałem dopiero sześć, więc ktoś czterdziestodwuletni wydawał mi się stary, ale nawet wtedy rozumiałem, że to bardzo wczesnie, żeby zapomnieć, kim się jest. Albo jak się nazywają różne rzeczy – z niewiadomego powodu właśnie to przerażało mnie najbardziej, kiedy odwiedzaliśmy wujka Harry'ego. Jego myśli nie tonęły we krwi z pękniętego naczynka,

lecz mimo wszystko tonęły.

Począpaliśmy do mieszkania 3C i mama otworzyła drzwi. Trochę to trwało, ponieważ były w nich trzy zamki. Mówiła, że taka jest cena życia w dobrym stylu. Mieliśmy sześciopokojowe mieszkanie z widokiem na aleję. Mama nazywała je Pałacem przy Parku. Dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką. Mama trzymała range rovera w garażu przy Drugiej Alei i czasami jeździliśmy do wujka Harry'ego do Speonk. Dzięki Regisowi Thomasowi i paru innym pisarzom (ale głównie staremu dobremu Regisowi) żyliśmy pełną gębą... do czasu. Ale ten przygnębiający rozwój wydarzeń omówię już niedługo. Z perspektywy lat mam wrażenie, że moje życie było jak powieść Dickensa, tylko że z bluzgami.

Mama rzuciła na kanapę siatkę z maszynopisem i torebkę, a potem usiadła. Z kanapy dobiegło pierdnięcie, które zazwyczaj nas bawiło, natomiast tego dnia nie.

– Jezu kurwa Chryste – powiedziała mama i zaraz podniosła rękę, jakby chciała powstrzymać te słowa. – Nie...

– Nie słyszałem tego, oczywiście.

– Dobrze. Powinam mieć taką elektryczną obrozę, która porażałaby mnie prądem za każdym razem, kiedy przy tobie zaklnę. Może to by mnie czegoś nauczyło. –

Wysunęła dolną wargę i zdmuchnęła grzywkę. – Mam do przeczytania jeszcze dwieście stron nowego Regisa...

– Jaki tytuł? – zapytałem, dobrze wiedząc, że w tytule będzie Roanoke. Jak zawsze.

– *Widmowa panna z Roanoke*. To jedna z jego lepszych książek, jest w niej dużo se... dużo przytulania i całowania.

Zmarszczyłem nos.

– Sorry, młody, panie uwielbiają te bijące serca i rozgrzane uda. – Spojrzała na siatkę z maszynopisem *Widmowej panny z Roanoke*, jak zwykle spiętym kilkoma gumkami recepturkami, z których jedna zawsze pękała, a wtedy mama rzucała najlepszymi bluzgami. Niektórych używam do dziś. – W tej chwili mam ochotę tylko na kieliszek wina. Albo może całą butelkę. Mona Burkett była wkurzająca jak cholera, może bez niej Marty’emu będzie nawet lepiej, ale w tej chwili jest załamany. Boże, mam nadzieję, że ma jakichś krewnych, bo bycie Naczelną Pocieszycielką średnio mi się uśmiecha.

– Ona też go kochała – powiedziałem.

Mama popatrzyła na mnie dziwnie.

– Tak myślisz?

– Wiem to. Powiedziała coś wrednego o moim indyku, ale potem się rozpląkała i pocałowała pana

Burketta w policzek.

– James, ty to sobie wyobraziłeś – rzuciła, lecz bez przekonania.

Wtedy musiała już rozumieć coś więcej, jestem tego pewien, ale dorosłym jest trudno uwierzyć i zaraz wam powiem dlaczego. Kiedy w dzieciństwie dowiadują się, że Święty Mikołaj nie istnieje, Złotowłosa nie jest prawdziwa, a zając wielkanocny to ściema – podają tylko trzy przykłady, choć mógłbym więcej – tworzy się pewien kompleks i przestają wierzyć w cokolwiek, czego nie mogą zobaczyć na własne oczy.

– Wcale sobie tego nie wyobraziłem. Powiedziała, że nie będę Rembrandtem. Kto to jest?

– Taki artysta – wyjaśniła mama i znowu zdmuchnęła grzywkę.

Nie wiem, dlaczego po prostu jej nie ścięła albo nie czesała się inaczej. Choć mogła, bo była bardzo ładna.

– Kiedy pójdziemy do pana Burketta, ani mi się waź mówić o tym, co ci się wydaje, że widziałeś.

– Nie powiem. Ale ona miała rację, mój indyk jest do kitu. – Było mi z tego powodu przykro.

Mama chyba to zauważyła, bo wyciągnęła ramiona.

– Chodź tu, młody.

Podszedłem i przytuliłem się do niej.

– Twój indyk jest piękny. To najpiękniejszy indyk, jakiego w życiu widziałam. Powieszę go na lodówce i zostanie tam na zawsze.

Uścisnąłem ją jak najmocniej i przywarłem twarzą do zagłębienia w jej ramieniu, tak żeby poczuć jej perfumy.

– Kocham cię, mamo.

– Ja też cię kocham, Jamie, na milion procent. A teraz idź się pobaw albo coś pooglądaj. Muszę trochę podzwonić, zanim zamówię chińszczyznę.

– Dobra. – Ruszyłem do swojego pokoju, lecz się zatrzymałem. – Położyła biżuterię na górnej półce szafy w przedpokoju, za jakimiś albumami.

Matka patrzyła na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Dlaczego miałyby je tam schować?

– Zapytałem, ale powiedziała, że nie wie. Mówiła, że wtedy jej myśli tonęły już we krwi.

– O Boże – szepnęła mama i dotknęła ręką szyi.

– Kiedy pójdziemy do niego z chińszczyzną, powinnaś mu to jakoś powiedzieć. Przestanie się martwić. Mogę zamówić kurczaka generała Tso?

– Tak. I brązowy ryż zamiast białego.

– Jasne, jasne – rzuciłem i poszedłem bawić się klockami Lego.

Budowałem robota.

3

MIESZKANIE BURKETTÓW BYŁO MNIEJSZE od naszego, ale ładne. Po kolacji, kiedy jedliśmy ciasteczka z wróżbą (w moim było napisane: *Pióro w dłoni jest lepsze od ptaka w powietrzu*, co zupełnie nie miało sensu), mama zapytała:

– Marty, szukałeś może w szafach? Tej biżuterii Mony.

– Po co miałaby chować biżuterię w szafie? – Całkiem sensowne pytanie.

– No, skoro miała wylew, mogła nie myśleć przytomnie.

Jedliśmy przy okrągłym stoliku we wnęce kuchennej. Pani Burkett siedziała na jednym ze stołków przy blacie i kiedy mama to powiedziała, zaczęła żywiołowo kiwać

głową.

– Może sprawdzę – powiedział pan Burkett. Zabrzmiało to dość nieprecyzyjnie. – Teraz jestem zbyt zmęczony i roztrzęsiony.

– Szafę w sypialni sprawdź przy okazji. Ja sprawdzę teraz tę w przedpokoju. Po wieprzowinie w sosie słodko-kwaśnym dobrze mi zrobi trochę ruchu.

– Sama to wszystko wymyśliła? – odezwała się pani Burkett. – Nie wiedziałam, że jest taka mądra.

Zaczynałem ją słyszeć coraz słabiej. Wkrótce miałem nie słyszeć jej już w ogóle i tylko widzieć, że porusza ustami, jakby znajdowała się za grubą szybą. Niedługo potem miała zniknąć zupełnie.

– Moja mama jest bardzo mądra – powiedziałem.

– Nigdy nie twierdziłem, że nie – odparł pan Burkett. – Ale jeśli znajdzie tę biżuterię w przedpokoju, to mi kaktus wyrośnie.

W tej samej chwili moja matka zawołała: „Bingo!” i weszła do kuchni z biżuterią na wyciągniętej dłoni. Obrączka wyglądała dość zwyczajnie, za to pierścionek zaręczynowy był wielki jak gałka oczna. Mocno się świecił.

– O mój Boże! – zawołał pan Burkett. – Jakim cudem...?

– Pomodliłam się do świętego Antoniego – wyjaśniła mama, zerkając przy tym na mnie. I uśmiechając się. – „Święty Antku, spójrz tu z nieba, zgubę szybko znaleźć trzeba!” I jak widzisz, podziałało.

Miałem ochotę przypomnieć panu Burkettowi, żeby czasem podlewał tego kaktusa, ale się powstrzymałem. To nie był dobry czas na żarty, a poza tym mama zawsze powtarza, że nikt nie lubi przemądrzalców.